Cena 18 fen. — 13 cent.



Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

poleca

Zarys dziejów Polski Porozbiorowej. Cena 1,25 m., z przesyłką 1,35 mk.

Wojsko polskie z 1831 r. z obrazkami. Cena 2 mk., z przesyłką 2,10 mk.

Podręcznik geografii ojczystej. Cena 1,25 mk., z przesyłką 1,35 mk.

Nabożeństwo do św. Antoniego Padewskiego napisał ks. Euzebiusz Stephan, prob. w Tworogu. Za pozwoleniem książęcobiskupiego wikaryatu jeneral. Cena 35 fen., z przesyłką 38 f.

Prawo zabezpieczające robotników na słabość i starość z dnia 22-go Czerwca 1879, które 1-go Stycznia 1891 wyszło w życie. Cena 40 fen., z przes. 45 fen.

Żywot św. Stanisława Kostki (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Żywoty ś. Jadwigi, bł. Kunegundy, Jolenty, Salomei, (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Modlitwa do św. Józefa (po polsku i po niemiecku), 2 fen., z przesyłką 5 fen. (100 egzempl. 1,70 mk. franko).

Cudowne przeniesienie Domku N. M. Panny z Nazaretu do Loretu, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Wykaz przyjęcia do bractwa trzeźwości 10 fen., z przes. 13 fen. (100 egz. 4,50 m. fr.)

Pieśni kalwaryjskie, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Rachunek sumienia czyli Przygotowanie do pierwszej spowiedzi świętej 5 fen., z przesyłką 8 fen. (100 egzempl. 4,50 m. franko.)

Litania do Przenajśw. Serca P. Jezusa 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Modlitwa przez Stolicę Apostolską nakazana, 2 fen., z przes. 5 fen. (100 egzempl. 1,70 m. franko).

Pieniądze trzeba nadsyłać naprzód. Zamawiać można pod adresem: **Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)**

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu

poleca co dopiero wydaną, bardzo piękną książkę pod tytułem:

Z niwy ślązkiej.

Wiersze Czesława Lubińskiego

2 tomy po 160 str. w jednej książce.

Cena za egz. nieoprawny . . . . 1,00 m.
„ „ „ oprawny . . . . . 1,50 „
„ „ „ eleg. oprawny w płótno 1,80 „

Na portoryum prosimy dołączyć 20 fen.

Każdy Polak na Szląsku powinien tę książkę posiadać!

Za nadesłaniem należytości w znaczkach pocztowych przesyła odwrotnie

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

DZIEJE POLSKI
OD POCZĄTKU DO NAJNOWSZYCH CZASÓW.

Według najlepszych źródeł opracował **Maryan z nad Dniepru.**

Całość obejmuje mniej więcej 300 stronnic druku w 8-ce z 80-ciu pięknemi obrazkami ważniejszych wypadków dziejowych, wizerunkami królów i sławnych mężów polskich.

Cenę pomimo starannego wydania, aby nabycie dziełka w trudnych dziś stósunkach każdemu umożliwić, ustanowiono na

1 markę 60 fenygów.

Upraszamy o łaskawe zamówienia i jesteśmy przekonani, że wydatku tego nikt nie pożałuje. Zamówienia prosimy nadsyłać pod adresem:

WYDAWNICTWO „KATOLIKA“,
Bytom, ulica Piekarska nr. 29.

Nakładem Wydawnictwa „Katolika“

wyszły i są do nabycia:

Pieśni Polskie

używane

na Górnym Szląsku.

Zebrał **J. Gallus.**

Cena zeszytu 20 fen.

Dziesięć zeszytów oprawnych w jednę książkę za 1 mk. 50 fen., z przesyłką 1 mk. 70 fen. — Pięć zeszytów oprawnych w jednę książkę za 1 mk. z przesyłką franko. — Należytość przesyłać należy w liście naprzód w znaczkach pocztowych. — Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 15-go Kwietnia 1896. Nr. 8.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

II.

W klasztorze.

W rozległym ogrodzie klasztornym, jaśniejącym całym przepychem roślinności południowej, wesołe gwary i śmiechy odbijają się o poważne mury wyniosłego budynku, wieńczącego jedno z najwyższych wzgórz Rio-Janeiro.

Gonitwy, nawoływania, śpiewy i skoki rozlegają się wznawiane co chwila z coraz większą żywością. Poważne siostry zakonne, strzegące tej gwarnej gromadki młodych dziewcząt, spoglądają z uśmiechem na swoje wychowanki, nawołując je od czasu do czasu, aby się spokojniej zachowywały. Czynią to jednak o ile można najłagodniej, boć to czas wytchnienia po całodziennej pracy, a wiek dziecięcy tak potrzebuje rozrywki.

Mniejsze dziewczynki utworzywszy ogromne koło, wymyślają coraz to inne zabawki, podczas kiedy starsze ująwszy się pod ręce, przechadzają się po cienistych alejach ogrodu. W altanie, pokrytej ciemnozielonym kobiercem, przetykanym najżywszych barw powojami, umieściło się kilka panienek zajętych splataniem wieńców. Żwawo poruszały się przy tej robocie ich zgrabne rączki, chociaż i języczki nie próżnowały.

Na pięknych twarzyczkach, odznaczających się po większej części ciemną cerą i ognistemi oczyma, malował się wyraz niezwykłego zapału. W pośród tej gwarnej gromadki, jedno tylko dziewczę wyróżniało się milczeniem, chociaż i sam delikatny owal twarzy, alabastrowej prawie białości, i wielkie błękitne oczy, odróżniały ją od towarzyszek. Odpowiadała ona więcej ruchami, niż mową na rzucane sobie liczne zapytania, co widocznie nawykłe już do tego rówiennice chętnie jej przebaczały.

Bo też ta cicha istota musiała posiadać szczególniejszą przewagę w tem uroczem gronku, które oddawało jej we wszystkiem pierwszeństwo. Najpiękniejsze kwiaty przechodziły kolejno do jej rączek, a jeżeli przypadkiem nitka wiążąca wieniec wysunęła się z pod palców i wonne gałązki rozsypały się na ziemię, młode dziewczęta rzucały się na wyścigi z pomocą towarzyszce. Ona też najpierwsza z trymfem podniosła

w górę przecudną koronę, prawdziwe arcydzieło, złożone z samych róż — począwszy od najbledszych aż do ciemnopurpurowych.

Założywszy ostrożnie swój wieniec na rękę, podniosła się z miejsca, sądząc że rówiennice zajęte rozmową dozwolą jej odejść niepostrzeżenie, ale zaledwie to uczyniła, już jedna z nich przeszkodziła jej zamiarowi.

— Puść ją Mercedes! — prosiła druga — wszak wiesz jak rozstanie ciąży jej na sercu. — I skinąwszy główką, dodała:

— Biedna Beata! Jej tak boleśnie rozstawać się z klasztorem. Dios! jakże też ona niepodobna do mnie. Mnie serce o mało nie pęknie z żalu na myśl, że tu jeszcze pozostać muszę! O! jakże szczerze pragnęłabym już raz wydostać się z poza tych posępnych murów i zobaczyć ten piękny świat, co się za ich obrębem śmieje.

Ogniste spojrzenie skierowane ku tym nienawistnym murom, zasłaniającym świat, który sobie z takim zachwytem wyobrażała, towarzyszyło wyrazom. Tęsknota dziewczęcia do nieznanych uciech wywołała głośne śmiechy towarzyszek, dawszy powód do niezliczonych uwag i żarcików.

Tymczasem Beata opuściwszy altanę, skierowała się ku palmowym zaroślom, wpośród których znajdował się pięknie wyciosany z kamienia posąg Matki Bozkiej.

Na zakręcie drogi spotkała zakonnicę. Była to jedna z owych niepospolitych kobiecych postaci, w których ani cierpienia, ani wiek, ani klasztorne ubranie nie są zdolne zatrzeć śladów niezwykłej piękności; piękność ta, przy wyrazie słodyczy i pokoju, czyniła z tej cichej, zapomnianej od świata zakonnej siostry, jakiś wzór nieziemskiej doskonałości.

— Co za prześliczne kwiaty niesiesz Beato! — przemówiła spojrzawszy na wieniec, który trzymała na ręku dziewczyna.

— To mój dar pożegnalny, siostro Klemencyo! — odrzekła zagadniona. Wzrok jej teraz więcej smutny, niż nieśmiały, zatonął w łagodnej twarzy zakonnicy. Ta ostatnia, otoczywszy rękoma smukłą kibić dziewczęcia, przytuliła ją silnie do swojej piersi, a na jej twarzy odmalował się wyraz głębokiego współczucia.

— Wiem już o tem, że masz nas opuścić drogie dziecię; ojciec twój pisał do przełożonej, a sam przyjedzie po ciebie.

— O! tak, jeżeli nie dziś, to jutro z pewnością. Moje rzeczy już są upakowane, wszystko przygotowane do odjazdu ale ja się tak lękam tej chwili rozstania!

Przy tych słowach, dreszcz wstrząsnął wątłe ciało Beaty, a jej łzawa twarzyczka przytuliła się tkliwiej do siostry Klemencyi.

Zakonnica spoglądała przez chwilę spokojnie na jej wzruszenie, poczem ozwała się przekonywająco:

— Żal twój zupełnie naturalny moje dziecko, i nikt cię za to potępić nie może; przeciwnie, musiałoby to każdego zadziwić, gdybyś bez łzy w oku mogła opuścić miejsce, gdzie ci się starano tak uczciwie zastąpić dom rodzicielski. Wypłacz się więc teraz, ale później musisz się okazać silną. Twoje zachowanie się musi przynieść zaszczyt nietylko twemu sercu, ale zarazem i naszemu sposobowi wychowania. Staraj się więc zapanować nad smutkiem. Nie godzi się, ażebyś z posępną twarzą i zaczerwienionemi oczyma wyszła na powitanie ojca; okaż się dla niego kochającą i tkliwą córką, boć przecie musisz się cieszyć w duszy, że go znowu zobaczysz?

— O! tak, tak, poświadczyła Beata, uśmiechając się wśród łez. Cieszę się rzeczywiście nadzieją zobaczenia ojca, tylko że... dodała z wahaniem, ja go prawie nie znam; nie widząc się od tak dawna, zupełnie odzwyczailiśmy się od siebie. Przypominam sobie tylko, że od dzieciństwa niezmiernie kochałam ojca, obawiając się go zarazem.

— Powinnaś rozpocząć ten nowy byt twój w imię stałej woli spełnienia

twego obowiązku; wszelkie poczciwe usiłowania sam Pan Bóg wspiera.

Główka Beaty podniosła się teraz, a cała twarz zapłonęła wyrazem odwagi i chętnego poświęcenia. Siostra Klemencya spoglądała na nią z macierzyńską prawie tkliwością i tak mówiła dalej:

— W życiu jakie teraz prowadzić będziesz, napotkasz wiele rzeczy nieznanych, przykrych i ciężkich dla siebie, ale za to poznasz także na tej obszerniejszej widowni nie jedno, co cię pięknem i szlachetnością swoją wynagrodzi za doznane zawody. W sercu twojem obudzą się nowe uczucia, życzenia i nadzieje, które drogiemi się staną dla ciebie, ale pamiętaj, ażeby wśród tylu nowych wrażeń wspomnienie tego cichego zakątka, wraz ze wszystkiem coś tu w nim pozostawiła, nie zatarło się w twoim umyśle.

— O! nie, nigdy siostro Klemencyo! w tych murach, które były dotąd całym moim światem, pozostanie na zawsze serce moje.

Cień głębokiego smutku przesunął się po szlachetnej twarzy zakonnicy.

Ileż to już młodych dziewcząt powtarzało też same przyrzeczenia, a jednak w cóż się one później obróciły? Gdzież się podziały owe listy, pełne najgorętszych słów wdzięczności, któremi z początku zasypywano klasztor... Następnie stawały się one coraz rzadszemi... aż nareszcie zupełnie ustały.

Te okoliczności zajmowały umysł siostry Klemencyi, w chwili gdy odpowiedziała swej wychowance:

— Dla nas dość będzie, jeżeli nas wspomnisz niekiedy. Pamiętaj, że myśli moje będą zawsze blisko ciebie, bo wszakże i ja urodziłam się w tym samym kraju, który był ojczyzną twojej matki. Jeżeli więc ojciec, według swego przyrzeczenia, kiedyś cię tam zawiezie, przyjemnie mi będzie, jeżeli napotkam w twoim liście wspomnienie ziemi, której już nigdy nie spodziewam się zobaczyć w życiu. Czy mi tego nie odmówisz?

— O! nie, siostro Klemencyo! bo i ja cieszę się serdecznie, że zobaczyć mam kraj, za którym moja biedna matka tyle się natęskniła — i ten dom, gdzie przeżyła tyle lat w szczęściu! — odrzekła Beata z zapałem.

Wpośród takiej rozmowy obie doszły wkrótce do posągu Najśw. Panny.

Pobożne dziewczę ze łzami w oczach złożyło swój dar pożegnalny, siostra Klemencya do jej gorącej modlitwy dołączyła nieme westchnienie za tą młodą, niedoświadczoną istotą, która opuszczając mury klasztorne nie miała obok siebie matki, tej najlepszej przewodniczki na bezdrożach życia lecz tylko ojca, który całkowicie oddany sztuce nie był w stanie pojąć potrzeb niewinnej duszy.

III.
Z przeszłości.

Prawie o tej samej godzinie, w której Beata rozmawiała z siostrą Klemencyą, don Silvo stał zadumany w oknie bogato urządzonego domu, położonego nad zatoką.

Po pokoju krzątała się młoda mulatka, zajęta ostatecznem porządkowaniem mebli, a chociaż wszystko przewybornie już oddawna stało na swojem miejscu, bystre jej oko nie przestawało śledzić najlżejszego pyłu; przyczem wzrok jej zwracał się bezustannie ku panu z niemem zapytaniem:

— Czy tak dobrze sennor?

Ale ten nie miał wyrazów dla niej a lekkie skinienie głową wystarczyło za pochwałę niewolnicy, która wkrótce z głębokim ukłonem wysunęła się za drzwi. Silvo chodził jeszcze dość długo po pokoju, niepewnym krokiem, dopóki nareszcie wahająco nie przekroczył progu swego mieszkania. Zatopiony w myślach szedł zwolna przez Botafago, jedno z najpiękniejszych przedmieść otaczających Rio-Jeneiro. Celem jego wycieczki był znany nam już klasztór, do którego się wybrał po córkę. Zdaleka już spostrzegał poważne mury, w których tak długo upływało życie jedynego dziecięcia — i rozmyślał w duszy, czy potrafi mu obok siebie zupewnić równie

miłe schronienie. Chwila, w której miał zobaczyć Beatę po tylu latach rozłączenia, ocuciła w jego piersiach uśpioną przeszłość, o której tak szczerze pragnął zapomnieć. O ile zaś ta była dla niego przyjemną, może ocenić sam czytelnik, rzuciwszy na nią przelotnym wzrokiem.

Don Perez de Silvo pochodził z jednej z najznakomitszych rodzin portugalskich, przesiedlonych z Lizbony do Brazylii. Po przejściu burz wojennych, wywołanych przez Napoleona I, część jego rodziny powróciła do ojczystej ziemi i tylko jedna odrośl starożytnego rodu pozostała w Brazylii, to jest ta właśnie, której ostatnim potomkiem był nasz artysta.

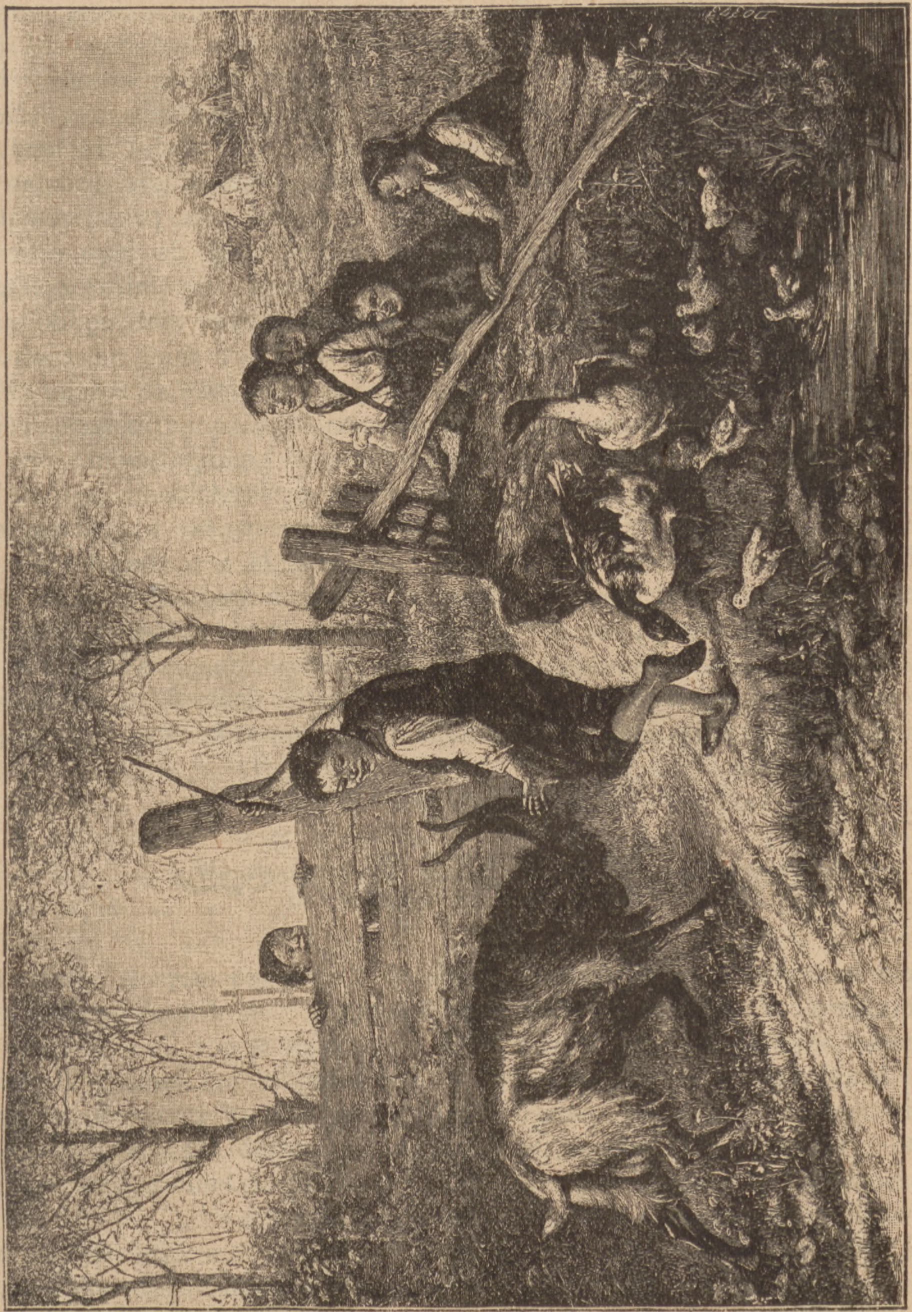
Utraciwszy wcześnie rodziców, został pozbawiony wszelkiej opieki moralnej i uczył się tylko, co mu się podobało. Jedynym celem jego była muzyka. Obdarzony rzeczywistym talentem, rzucił się namiętnie do gry na skrzypcach, którą doprowadził wkrótce do mistrzowstwa. Wprawdzie brakowało mu do gruntownego zbadania tajemnic muzyki cierpliwości, ale geniusz objawiał się w zachwycających fantazyach, któremi dziwny urok wywierał na słuchaczach. To też jego publiczne występy były pasmem bezustannych tryumfów. Ale obok niezaprzeczonego talentu, Silvo posiadał burzliwy niespokojny charakter, który nigdy nie pozwalał mu długo zatrzymać się na miejscu, wyuzdaną pychę i ogniste lecz niestałe serce. Wkrótce ogromna kraina, w której się urodził, wydała mu się zbyt ciasną; uczuł nieprzeparte pragnienie zobaczenia starożytnej Luzytanii, chcąc poznać znajdujących się w niej krewnych, i przenieść do Europy swoję artystyczną sławę. Los jednak zdarzył, iż doznał niespodziewanego zawodu ze strony krewnych, u których znalazł zimne przyjęcie.

Bogata szlachta portugalska pełna zastarzałych, tradycyonalnych przesądów, krzywem okiem spoglądała na młodego krewniaka, którego całą dumę i bogactwo stanowiły skrzypce. Był on w ich oczach co najwięcej jakimś chybionym geniuszem, albo raczej artystycznym włóczęgą. Zniknięcie artysty z Portugalii nastąpiło tak samo niespodzianie jak i jego przyjazd. Rozpoczął on teraz dalszą wędrówkę po Europie, w której laury wynagrodziły mu zawód doznany ze strony rodziny. Zdawało się, że nowa jakaś potęga wstąpiła w jego duszę; cudowne tony jego skrzypców dreszczem wzruszenia przejmowały tłumy słuchaczów a znawcy unosili się nad ich wdziękiem.

Poprzedzany sławą, z dumnym wzrokiem zapatrzonym w przyszłość, posuwał się coraz dalej ku środkowi Europy otwierającą przed nim złociste wrota nieśmiertelności; w tym czasie w jednej ze swych artystycznych wycieczek do sławnego zakładu kąpieli morskich, gromadzącego corocznie niezliczone tłumy arystokracyi, poznał bogacza zajmującego bardzo poważne stanowisko w świecie finansowym.

Milioner ten, obecnie zajęty całkowicie handlowemi sprawami, nazywał się Karol Hohenhofen. Pochodził on ze znakomitej szlacheckiej rodziny, która w skutek rozmaitych wypadków, a najwięcej przez zbytki i niedołęztwo coraz więcej gnuśniejącego pokolenia, doszła do zupełnego upadku. Karol był już ostatnim potomkiem rodu, a widząc straszne widmo nędzy i poniżenia ścigające go w zapadłem zamczysku przodków, za pomocą silnej woli otrząsnął się z przesądów i poszedł w świat, podając swe szerokie baronowskie barki pod ciężar pracy. Z żelazną wytrwałością dążył on do raz obranego celu i w końcu udało mu się osięgnąć to, czego pragnął. Zbyt wiele zabrałoby nam miejsca opowiadanie, jakim sposobem, począwszy swój zawód jedynie z kapitałem własnych zdolności i rozumu, przyszedł Hohenhofen kolejno do posiadania najznaczniejszych w swoim kraju zakładów fabrycznych, zatrudniających kilkanaście tysięcy rąk, z kilkumilionowym kapitałem obrotowym. W chwili gdy los nieprzyjazny kazał mu się zbliżyć do sławnego skrzypka, był on już człowiekiem podeszłym w latach

i podupadłym na zdrowiu, które zmuszało go szukać corocznie pomocy u wód morskich; tam i teraz przebywał w towarzystwie ośmnastoletnej Maryi, która pozostała mu jako jedyna pociecha po



W NIEMIŁEM POŁOŻENIU. (Obacz objaśnienia rycin na str. 128).

stracie żony i kilkorga starszych dzieci. To też stary Hohenhofen, który z dumą dorobkowicza odrzuciwszy von od swojego nazwiska, spoglądał ze wstrętem na liczne zabiegi zubożałych paniczów, kręcących się koło milionowej jedynaczki, kazał jej umyślnie nie zdejmować z palca kosztownego pierścionka, którym zaręczoną została z jednym z najbogatszych kupców rodzinnej prowincyi. Ale młoda dziewczyna nie podzielała tego upodobania bogactw; przeciwnie, będąc otoczoną od dzieciństwa dostatkiem, zbyt mało przywięzywała do niego wartości, pytając się nieraz siebie, na co się wła-

ściwie przyda posiadać tyle złota, kiedy za nie nie można sobie kupić uczucia, coby zapełniło sieroce serce? Z dziecięcą ciekawością spoglądała naokoło, śledząc czy nie zobaczy pomiędzy ludźmi czegoś mniej powszedniego od przedmiotów, jakie ją od kolebki otaczały; czy nie dosłyszy w rozmowach jakiejś dźwięczniejszej nuty, coby znalazła odgłos w jej sercu, coby uniosła jej czystą duszę poza tę atmosferę handlową, w której tak ciężko było jej oddychać. Wśród takich to nieokreślonych pragnień, Marya poznała naszego artystę.

Upajająca muzyka pobudziła jej niedoświadczone serce do całkiem nieznanego dotąd życia. Jakiś tajemniczy, niewytłómaczony pociąg uczynił ją w jednej chwili jego niewolnicą nazawsze, a podczas kiedy całe kąpielowe towarzystwo unosiło się nad jego talentem, ona już pokochała go całą potęgą pierwszej miłości; kiedy inni w najgorętszych słowach wyrażali swoje uwielbienie, zbytek czucia tamował głos w jej piersiach. Słowa wydawały jej się zbyt błahą i nędzną ofiarą, ona oddawała artyście to, co miała najlepszego, to jest swe niewinne serce. Uczyniła to jednakże całkiem bezwiednie, nie domyślając się nawet, iż przez to zdradziła zacnego człowieka, któremu dobrowolnie przyrzekła swoją rękę.

Silvo nie wiedział nic o tem zobowiązaniu. Piękność Maryi od pierwszej chwili wywarła na nim głębokie wrażenie, które przy naturze jego południowego temperamentu wkrótce wyrodziło się w najgwałtowniejszą miłość. Będąc wszędzie dobrze widzianym, z łatwością znalazł wstęp do domu Hohenhofena, który pozwalał mu długie godziny przepędzać z córką, nie przywiązując tak dalece wielkiej wagi do jego odwiedzin. Nie przewidywał tego nieszczęśliwy ojciec, że sam przyczyniał się do rozniecenia ognia, który miał na zawsze pochłonąć jego domowe szczęście. Marya, oczarowana ujmującą postacią i słowy rozkochanego portugalczyka, przy nim zapomniała o wszystkiem, co dotąd wywierało tak przeważny wpływ na jej życie. Zapominała i o starym ojcu, i o narzeczonym, którego listy pełne najgorętszych wynurzeń miłości wydawały jej się tak mdłe i zimne, wobec tak palącej, płomiennej atmosfery, bez której już teraz nie pojmowała życia. (C. d. n.)

ZIEMIA.

Nasza planeta wraz z nieodstępnym towarzyszem swoim, księżycem, zajmuje trzecie miejsce w rzędzie ciał niebieskich, krążących w około słońca. Nie sądźcie jednak, żeby w ustroju wszechświata grała ona rolę ważniejszą od swoich siostrzyc: tak samo jak one ulega wpływowi powszechnego ciążenia, odbiera od słońca światło i ciepło, i obraca się szybko w przestrzeni, w skutek czego mamy kolejno dzień i noc, wiosnę, lato, jesień i zimę.

Tak, ta kula ziemska, na której żyje miliard czterysta milionów ludzkich istot wrzekomo rozumnych, jest gwiazdą niebieską, ze wszystkich stron odosobnioną, oddaloną od słońca o 37 milionów mil i obracającą się w koło niego w przeciągu 365 dni, 6 godzin, 9 minut i 10 sekund.

Przekonanie, że ziemia jest gwiazdą, stanowi największy przewrót w dziejach ludzkości: umysł człowieka długo musiał pracować i badać, zanim doszedł do tego odkrycia.

Ktokolwiek chce zdać sprawę z położenia ziemi, musi przyznać, że kula ziemska bynajmniej nie zajmuje pierwszego miejsca w układzie wszechświata.

Najważniejsze pytania niepokojące ludzkość, są: »Co to jest ziemia i co to jest niebo?«

Każdy człowiek myślący z ciekawością zadaje sobie pytanie, czem jest

właściwie to niebo, zawieszone nad nami. Wobec tych niezgłębionych błękitów, to jaśniejących słonecznem światłem, to usianych milionami gwiazd lub rozpromienionych srebrzystym blaskiem księżyca, dusza mimowoli stara się zgłębić tajemnice stworzenia i zawstydzona własną nieświadomością, błaga Najwyższego, żeby odchylił rąbek zasłony, okrywający Jego dzieła. Ciekawość stanowi pierwszy bodziec popychający człowieka do badania prawdy i rozświetlenia ciemności otaczających te dalekie, nieznane światy.

Starajmyż się więc wznieść nad pozory, przesądy i złudzenia zmysłów i poznać w całej chwale piękności stworzenia.

Ziemia była silnie utwierdzoną i nieruchomą; każdy naród wyobrażał sobie, że zamieszkuje jej środek. Pod nią rozciągały się owe tajemnicze podwaliny, o których już wspomniał Job trzy tysiące lat temu: »Gdzież byliście, kiedy zarzucałem podwaliny ziemi?« Wierzono święcie, że była mocno przytwierdzoną i nie zapadnie się nigdy. Co do jej krańców, jedni sądzili, że jest otoczoną oceanami i bagnami, inni mówili o nieprzebytych ciemnościach; najśmielsi zaś, zakonnicy z 10-go wieku utrzymywali, że podróżując w celu odkrycia raju ziemskiego, doszli do miejsca, gdzie niebo styka się z ziemią i byli nawet zmuszeni się schylić. Przezroczyste sklepienie zawieszone nad królestwem żywych, musiało także dawać rękojmie bezpieczeństwa, kiedy uważano je za miejsce wiecznego pobytu wszystkich dusz zmarłych.

Nasze pojęcia musiały uledz zmianie od czasu wynalezienia teleskopu. Nasza planeta żadnej nie ma podstawy i wisi odosobniona wśród olbrzymiej próżni; dla mieszkańców Wenery, Marsa i Merkurego błyszczy ona w oddali, jak gwiazda.

Nieskończoność otacza nas w około. Nieskończoność... Czy umysł ludzki może pojąć to słowo? I czemże jest w porównaniu z niem nasza kula ziemska!

Przypuśćmy, że opuszczamy ziemię i w celu zmierzenia tej nieskończoności kierujemy się w jakąkolwiek stronę nieba. Otóż choćbyśmy lecieli z szybkością światła, które przebiega 75,000 mil na sekundę, moglibyśmy tak lecieć, dnie, miesiące, lata, wieki całe... nie zatrzymując się ani na chwilę, i nigdybyśmy nie dosięgnęli, nigdy, krańców tej przestrzeni... Widzielibyśmy otchłań za otchłanią, bez końca, bez miary i wieczność cała zbiegłaby nam na mierzeniu ogromu nieskończoności.

Przypuśćmy na chwilę, że kula ziemska jest jedyną w tej przestrzeni i spada w otchłań, niby kula armatnia. Otóż mogłaby tak spadać tysiące wieków i nigdyby dna nie dosięgnęła, bo w porównaniu z nieskończonością, błyskawiczny jej lot równałby się zupełnej nieruchomości.

Ulegając tajemniczym prawom powszechnego ciążenia, nasza planeta krąży wśród przestrzeni z szybkością, z której trudno nam zdać sprawę. Droga, którą musi przebiedz w około słońca w przeciągu 365 dni i 6 godzin, wynosi 232,500,000 mil, na dzień wypada więc 643,000 mil, na godzinę 26,800.

Najszybszy pociąg kolei żelaznej, na skrzydłach pary unoszony, przebiedz może tylko 25 mil na godzinę, szybkość obrotu ziemi większą jest zatem 1,100 razy. W porównaniu z nią szybkość pospiesznego pociągu jest tem, czem chód żółwia w porównaniu z pędem lokomotywy. Przebiegamy przestrzeń siedmdziesiąt pięć razy prędzej niż kula armatnia; my zaś, drobniuchne mrówki snujące się po powierzchni skorupy ziemskiej i utrzymywane siłą jej przyciągania, razem z nią wirujemy w przestworach niebieskich.

Ażeby zdać sobie sprawę z ruchów i położenia ziemi, musielibyśmy porzucić jej powierzchnię i umieściwszy się opodal w przestrzeni, ztamtąd dopiero jej się przypatrywać, podobnie jak człowiek przygląda się pociągowi kolei, który obok niego przebiega.

Najprzód więc ujrzelibyśmy ją w postaci gwiazdy, której wielkość rosłaby



SZCZEGÓLNY NAPASTNIK. (Obacz objaśnienia rycin na str. 128).

z każdą chwilą. Wkrótce moglibyśmy rozróżnić jej powierzchnię, morze i lądy, biegun błyszczący od śniegów i lodów, atmosferę upstrzoną obłokami. W miarę przybliżania się, zwiększają się jej rozmiary: możemy już rozeznać części świata, dwa olbrzymie trójkąty Ameryki, Europę o powycinanych brzegach, Afrykę z jej rozległemi pustyniami... Lecz wirująca kula ziemska wciąż rośnie, olbrzymieje, cały przestwór nieba sobą zapełnia i nagle ukazuje się przed naszym przerażonym wzrokiem, jak potworne zjawisko. Przez chwilę rozróżniamy ryk dzikich zwierząt w puszczach zwrotnikowych, słyszymy huk armat naszego cywilizowanego społeczeństwa... Olbrzymia kula przebiegła obok nas z szybkością błyskawicy i toczy się dalej, zapada w otchłanie, ucieka, maleje i znika nakoniec wśród nieskończonych przestworów.

Kula ziemska ma 18,000 mil obwodu; powierzchnia jej zajmuje 509 milionów kilometrów kwadrat., waga wynosi 5,875 sekstylionów kilogram.: 5,875,000,000,000,000,000,000. Cyfry te zdumiewają nas, a jednak słońce waży tyle, ileby ważyło 324,000 kul ziemskich!

Atmosfera otaczająca ziemię waży 6,263 kwatrylionów kilogramów, milion razy mniej niż ziemia. Każdy człowiek wytrzymuje ciśnienie równające się 15,500 kilogramom i przygnieciony tym ciężarem, nie może nawet jak ptak wzlecieć do góry i bujać swobodnie wśród powietrznych przestworów.

Słońce bynajmniej nie jest nieruchome wśród przestrzeni, lecz porusza się także i porywa nas z sobą ku konstellacyi Herkulesa z szybkością wynoszącą 200,000 mil dziennie. Prawdopodobnie i ono jest przyciągane przez jakieś ciało nieznane nam jeszcze; a może też i spada wciąż w nieskończoność, pociągając za sobą cały orszak planet i komet.

(Dokończenie nastąpi).

O MRÓWKACH.

Każdy mrówkę z pewnością widział, dla tego nie mamy zamiaru opisywać ustroju ciała jej. Pragniemy za to przedstawić szanownym czytelnikom pokrótce obraz pracy mrówczej, obraz inteligencyi mrówki. Toć praca mrówcza weszła już w przysłowie a nawet Pismo święte w Starym Testamencie nakazuje leniwcowi przypatrzyć się pracy mrówki, czerpać z niej przykład i naprawić swój żywot.

O żadnem też żyjątku tyle może nie napisano, nie pisano zaś zwłaszcza z taką przyjemnością, z takiem uznaniem, jak o mrówce. Jeden z wielkich przyrodoznawców Lubbock powiada o mrówce, że po człowieku ona pomiędzy wszystkiemi stworzeniami na świecie ma najwięcej zmysłu duchowego czyli inteligencyi. To samo twierdzi pewien uczony Francuz. Rozmaici wielbiciele tyle mrówkę nawysławiali, że prawie się tego wszystkiego nie chce wierzyć. My również nie będziemy zagłębiać się w to, czy mrówka ma inteligencyę i ile jej posiada, przedstawimy ją tylko, jako istotę nadzwyczaj pracowitą, nadzwyczaj zmyślną, istotę, która obdarzoną jest nadzwyczajnem czuciem czyli instynktem.

Mrówka jest istotą nadzwyczaj towarzyską. Żyje, podobnie jak pszczoła, w wielkiej gromadzie. W tej gromadzie znajdują się trzy rodzaje pszczół, skrzydlate samce, takież samiczki i robotnice bez skrzydeł. Najważniejszemi z nich wszystkich są robotnice. One to prowadzą właściwy zarząd całej gromady. Zaopatrują ją w pożywienie, utrzymują swe mrówcze mieszkania w porządku, czyszczą je więc, ażeby w nich schludnie wyglądało, pracują bezustan-

nie, toczą wojny z sąsiadkami, zabawiają towarzyszki, słowem nie znają wypoczynku, istnieje u nich praca i jeszcze raz praca, praca znojna, ale uszlachetniająca. Jedynie praca bowiem zdolną jest zrobić istotę prawdziwie szlachetną, pracującą nietylko dla siebie, ale i dla drugich. Panuje też pomiędzy mrówkami jak największa zgoda, nic tam w tych tak licznych gromadach nie zakłóca spokoju, nigdy nie ma kłótni i bójki, mrówki nie znają, jak powiedzieliśmy powyżej, niczego nad pracę. Gromady zwalczają się nawzajem, to prawda, bo chodzi i tu o prawo panowania jak i pomiędzy ludźmi, ale z podbitą gromadą obchodzą się zwycięzcy bardzo wspaniałomyślnie. Nie upatrują w nich niższego od siebie, lecz przyjaciela, który też wnet zapomina o wszystkiem i nie czuje wcale niewoli. Jakiż to przykład dają tu mrówki ludziom, którzy w dzisiajszych czasach w pysze i zarozumiałości swej w istocie, wyznającej inną wiarę, mówiącej innym językiem nie upatrują równego sobie bliźniego i starają się na wszelki sposób żywot zaprawić mu goryczą.

Niektórzy badacze przyrody twierdzą nawet, że mrówki mają swe wojsko, składające się z najsilniejszych mrówek, które w czasie pokoju sprawując najcięższe zajęcia, podczas wojny tworzą straż przednią, która zaopatrzona w silne szczęki, tworzące ich broń, zadaje nieprzyjacielowi dotkliwe klęski. Wojsko to urządzone jest zupełnie na sposób wojska ludzkiego. Zwycięzca plądruje mieszkanie zwyciężonego, ażeby zaopatrzyć w ten sposób w żywność zastępy żołnierzy.

Jeśli w bitwie jeden z żołnierzy padnie ciężko zraniony, natenczas towarzysz, skoro to spostrzeże, przybiega na pomoc, ogląda go na wszystkie strony i zlizuje mu rany. Gdy widzi, że zraniony sam jest niezdolny poruszać się o własnej sile, natenczas chwyta go swemi szczękami, podnosi i zanosi do wspólnego mieszkania.

Wojska mają swe warty, które stoją na posterunku, ażeby natychmiast donosić o obrotach nieprzyjaciela. I wojsko mrówcze ma takie warty, które stoją na straży i natychmiast przestrzegają gromadę przed grożącem niebezpieczeństwem. Wiadomość o zbliżaniu się ludzi naprzykład rozchodzi się po gromadach z błyskawiczną szybkością i wzywa wszystkich do obrony ojczyzny mrówczej. Skoro jednak mrówki zauważą, że nikt nie ma wrogich zamiarów w obec nich, uspakajają się i pozwalają się ludziom zbliżyć i przypatrzeć się swej pracy. Można z tego przykładu nabrać przekonania, że Opatrzność udzieliła mrówkom jakiegoś środka, za pomocą którego porozumiewają się z sobą. Albo czynią to przez dotykanie się, albo przez wydobywanie tonów, które są niedostępne dla ucha ludzkiego. Co do tego panują jeszcze sprzeczne zapatrywania.

Powiedzieliśmy, że mrówki są bardzo dbałe o swój porządek, nietylko o porządek w mieszkanku swem, ale o porządek co do własnej istoty. Mrówka podnosi się na swych czterech nóżkach tylnych, podnosi głowę i równocześnie albo naprzemian myje sobie przedniemi nóżkami głowę; czyni to w podobny sposób, jak kot. Po umyciu przybiera rozmaite postacie, częstokroć bardzo śmieszne: kładzie się naprzykład na plecy, nóżkami przerzyna powietrze, przewraca się, i liże tak długo, dopóki wszelkich plam nie usunie ze swego ciała.

Teraz następuje inna czynność. Zdaje się patrzącemu, że dwie mrówki pokłóciły się ze sobą i zaczynają się okładać. Tymczasem jest to czynność wzajemnego kułakowania się, jak to się dziś jeszcze w Anglii i Ameryce dzieje. Po kułakowaniu mocują się obie ze sobą, okładają się przedniemi nóżkami, wszystko dla tego, ażeby po uciążliwej pracy uczynić zmęczone członki giętkiemi i użyć nieco użytecznej rozrywki.

Wstąpmy teraz na chwilę do mieszkania mrówek. Przez otwór podobny do małego lijka dostajemy się do rodzaju przedpokoju, którego ściany podparte są drobnemi gałązkami świerkowemi, wyobrażającemi nasze belki, podtrzymu-

jące budowę domu. Z tunelu wchodzimy do przedpokoju, z którego prowadzą drogi do zamieszkań, głębiej położonych. Tam ściany są z ziemi. Powierzchnia jest tak gładka, jak gdyby ją oheblowano lub ogładzono. Tymczasem dokazały tego mrówki z pomocą swych szczęk. Ganki, niżej położone są nadzwyczaj, jak dla mrówek, przestronne i zaopatrzone w szerokie wchody. Panuje tu przez cały dzień nadzwyczaj ożywiony ruch. Jedne robotnice wchodzą, drugie wychodzą, wszystkie przenoszą się z jednego miejsca na drugie, gdzie się mieszczą jajka i poczwarki. Są miejsca, które są zupełnie jajkami zapełnione. Pewna ilość robotnic pracuje bezustannie nad tem, ażeby je gromadzić na kupę. Jajka znosi królowa, którą mrówki posiadają tak samo, jak pszczoły.

W innych pokoikach tego budynku mrówczego, nagromadzone są poczwarki. Wygląda tam, jak w młynie w miejscu, gdzie nagromadzone są wory z mąką. Pilnuje ich również bezustannie pewna ilość robotnic, które karmią je kroplami cieczy, podobnej do miodu, jaką z żołądka wydobywają. Pieczołowitość, jaką mrówki otaczają swe przyszłe potomstwo, jest wprost wzruszającą. Skoro tylko promienie słońca zaczną ogrzewać silniej ziemię i dadzą się uczuć w mieszkaniu mrówek, natenczas pracownice znoszą nagromadzone zapasy jajek i poczwarek do niższych celek, gdzie słońce dotrzeć nie może. Skoro zaś nastąpi chłodniejsza temperatura, natychmiast zabierają wszystko i wnoszą do dawniejszych miejsc, gdzie w jak najwzorowszym porządku je składają. Najchętniej gromadzą się mrówki pod kamieniem, gdzie najstósowniejsza dla nich temperatura. Uchylmy kamień a spostrzeżemy przerażony rój, rozpierzchujący się na wszystkie strony. Spostrzeżemy wtedy także coś białego w szczękach mrówki każdej. To poczwarki, które mrówki z największą szybkością starają się ukryć przed grożącem niebezpieczeństwem. Gdybyśmy mogli ścigać osobą swą taką mrówkę, zauważylibyśmy, z jaką starannością składa w przeznaczonem miejscu drogi swój ciężar, z jaką troskliwością stara się go zabezpieczyć przed wszystkiem, co mogłoby go narazić choćby na najdrobniejsze niebezpieczeństwo.

Nakoniec zbliża się chwila, kiedy przyszli potomkowie mają oglądać świat Boży. Widzimy cały rój robotnic, rozbijających skóry poczwarek, z których wydobywa się mrówka. Stworzenie to jest z początku niezaradne, nie mogące się poruszać. Powłoka, która je jeszcze otacza, tamuje wszelkie poruszanie się. Dopiero, gdy robotnice i tę powłokę rozbiją, mrówka wesoło zaczyna biegać. Mimo, że młode potomstwo dałoby sobie same radę, starzy nie wypuszczają go z swej opieki dopóty, dopóki nie stanie się, jak mówią niektórzy badacze »pełnoletniem.« Inni twierdzą, że istnieje dział robotnic, które obejmują wychowanie młodych i robią z nich dzielnych pracowników na przyszłość. W pewnym oddziale mają mrówki pełno mszyc. Otóż te mszyce są dla nich, że się tak wyrazimy, krowami dojnemi, które zaopatrują je w mleko, a to mleko starczy za pożywienie. Gdy mrówka czuje głód lub pragnienie, natenczas udaje się do »stajni«, tam łechta swemi szczękami mszycę, która przy tej czynności wydaje ze siebie kroplę cieczy. Ta ciecz wystarcza mrówce na zaspokojenie głodu.

To byłyby najważniejsze szczegóły z życia mrówek. Widzimy z tego, do jakiego stopnia praca stworzenie każde uzacnia i uszlachetnia. Prawdziwa rzetelna praca nie zna własnych korzyści, ona te korzyści upatruje właśnie w szczęściu drugich, praca daje szczęście i zadowolenie, a ta praca nie dzieje się dla jednostek, ona ma uszczęśliwiać i uzacniać wszystkich. Dla tego bierzmy sobie przykład z mrówek i pracujmy podobnie jak one, pracujmy rozsądnie i rzetelnie, bo tylko wtedy praca nasza wyda korzyści, pracujmy dla społeczeństwa, bo tylko ta praca da nam to szczęście, to zadowolenie, jakie nam tu na ziemi jest potrzebne. Pracą bezinteresowną, pracą wspólną dla dobra ogółu rozwiążemy najlepiej sprawę socyalną przyszłości.

SYN TĘPICIELA WILKÓW.

W zapadłej wiosce Aheerya, w środkowych Indyach, mieszkał pewien człowiek imieniem Ram Lal, który po przodkach swoich odziedziczył rzemiosło tępiciela wilków. Pochodził on z ubogiej i wzgardzonej kasty pastuchów, ale odznaczał się siłą wielką i niepospolitą zręcznością w zastawianiu sideł; dla tego też znanym był w okolicy całej. Powiadano o nim, że nie było dzikiego zwierzęcia lub ptaka, któregoby nie zwabił, naśladując do złudzenia głos jego.

Czasami dla rozrywki swoich przyjaciół, krył się w zarośla, udając przeraźliwe wycie, które sprowadzało do ludzi zgłodniałego wilka, błąkającego się w gęstwinie; wtedy Ram Lal zaczynał naśladować beczenie strwożonego koźlęcia odłączonego od trzody, a gdy żarłoczne zwierzę, skradając się ostrożnie wśród krzaków, zbliżało się do upatrzonej ofiary — nagle ziemia rozstępowała się pod jego stopami i stare wilczysko wpadało do dołu, wykopanego pod plecionką z gałęzi.

Czasami znów wybierał się z sąsiadami do lasu, a gdy wszyscy znużeni już byli daremnem wyczekiwaniem na zapowiedzianego niedźwiedzia, Ram Lal podchodził do drzewa i ukazywał im ukrytego wśród liści zwierza, zajętego spokojnie wysysaniem leśnych jagód.

Sądzono powszechnie, iż Ram Lal był czarownikiem, i on sam wierzył temu potrosze, przypisując szczęście swoje nie tyle zręczności i doświadczeniu, ile opiece dobrych duchów. Choć bowiem tępił naokoło wilków i niedźwiedzi, było przecież jedno zwierzę, któremu nigdy krzywdy nie uczynił — a tem był stary, ludożerczy tygrys, który obrał był sobie legowisko w ciemnej jaskini na wzgórzu Kalasangunu. Ram Lal wierzył, iż tygrys ten był jego pra-praszczurem, i że tylko przychylności jego dla siebie zawdzięczał panowanie, jakie rozpostarł w leśnem jego państwie. To też często znosił zabite przez siebie zwierzęta i składał je u otworu jaskini, na żer dla postarzałego tygrysa.

Ram Lal miał żonę imieniem Motyę, co w miejscowem narzeczu znaczy perła; drogą mu ona też była jak najszacowniejszy klejnot. Z niej miał syna, któremu dano imię Gunga, przez pamięć świętej, rodzinnej rzeki.

Gdy dziecię przyszło na świat, kapłan miejscowy rozłamał sztukę srebrnej monety we troje i pobłogosławiwszy każdy odłamek, zawiesił na szyi nowonarodzonego i jego rodziców, grożąc im wielkiemi nieszczęściami, gdyby kiedykolwiek rozstali się z święconym amuletem. To też oboje małżonkowie pilnie strzegli tego zlecenia, przypisując mu moc czarnoksięzką.

Pewnego dnia, gdy mały Gunga miał już około lat trzech a ojciec udał się do sąsiedniego miasta ze skórami zabitych zwierząt, matka zaś poszła prać bieliznę w rzece — chłopczyna, bawiący się kwiatkami u stóp rozłożystego bananu, ujrzał idącego gościńcem przechodnia obładowanego zabawkami, który zatrzymał się na jego widok i usiadł opodal od drzewa. Póty przebierał zabawkami, póki dziecko zwabione ich widokiem, nie podeszło bliżej niego: wtedy jął się cofać powoli, ukazując mu takie śliczne, złociste cacko, że chłopczyk biegł za nim, chciwie wyciągając rączęta. Wkrótce wysokie łodygi trzciny cukrowej skryły ich z swych gąszczach, a Gunga, nie podejrzywając nic złego, zapuszczał się coraz głębiej w ruchome sitowie; nieznajomy zatrzymał się nareszcie, wręczył mu upragnioną zabawkę, potem odział go w nową jaskrawą sukienkę i czapeczkę, nóżki jego bose obuł w zielone trzewiczki z czerwoną podszewką, a czoło jego młodziutkie naznaczył jakimś żółtym, kabalistycznym znakiem.

Ktoby spotkał tak wystrojonego Gungę ze znamieniem Bramina na

skroni, nie domyśliłby się, że ma przed sobą ubogie dziecię ludu, potomka wzgardzonego pasterskiego pokolenia indyan.

Wtedy nieznajomy pochwycił zdobycz swą za rękę, a Gunga dumny i uradowany ze swego stroju, szedł za nim, nie stawiając oporu żadnego. Tak doszli do bocznego gościńca, gdzie stał wóz kryty zaprzężony wołami. W głębi siedziała kobieta mająca obok siebie dwoje równie małych i postrojonych dzieci, które chrupały słodycze i bawiły się zabawkami. Mężczyzna wsadził Gungę do wozu, szybko zasunął firanki i popędził woły po bitym gościńcu.

Oto w jaki sposób Gunga skradzionym został rodzicom.

Gdy matka, ukończywszy płukanie bielizny w rzece, wróciła do domu i zastała go pustym, napełniła wieś krzykami rozpaczy. Nazajutrz Ram Lal powrócił z miasta z zarobionemi pieniędzmi, wioząc gościniec żonie i synowi: srebrne kolce do uszów, papużkę zieloną w klatce i łakocie, jakie malec lubił. Zastał wieś całą w popłochu, a Perłę leżącą bezprzytomnie na progu domu, z którego znikło światło życia i wesele.

Chwyciwszy długi nóż swój i topór, nieszczęsny ojciec udał się w zarośla szukać straconego dziecięcia. Przeszukał wszystkie wilcze jamy i jaskinie tygrysów między skałami, na jakie dwadzieścia mil dokoła; przeszukał cały brzeg piaszczysty rzeki, ale nigdy śladu dziecka nie znalazł.

Pewnego dnia, gdy pogrążony w rozpaczy, siedział na pagórku z wzrokiem wbitym w ziemię, naraz zerwał się na równe nogi i wykrzyknął: wiem gdzie się podział syn mój! Tygrys z Kalasungum pożarł go! Nie nosiłem mu żeru przez dni kilka i mszcząc się za to, pozbawił mię dziecka!

I schwyciwszy nóż i topór, pędem puścił się do lasu.

Słońce wzbiło się wysoko i zatoczywszy ognistem kołem po widnokręgu, spuszczać się zaczęło powoli za góry; mgły wieczorne przejrzystą oponą otulać poczęły ziemię — a on niestrudzony biegł wciąż w prostym kierunku. Słyszał stada wilków wyjących dokoła; widział lampartów biegnących w podskokach, z wzgórza, na wzgórze, ale słuch jego i wzrok wytężony ku jednemu, nie baczył na otaczające go niebezpieczeństwa. Dalej i dalej pędził jak wicher, jak strzała z łuku puszczona, jak ptak na lotnych skrzydłach rozpiętych w powietrzu; a gdy nakoniec księżyc blady i senny wypłynął na ciemny lazur nieba, ujrzał w oddali, rysujący się na tle skały, czarny otwór jaskini Kalasungum. Skalistą, wązką ścieżką, wijącą się nad urwiskiem, wspiął się do góry i u szczytu ujrzał, w świetle księżyca, rozciągniętego w całej swej długości starego tygrysa — postrach okolicy.

Wtedy Ram Lal zbliżywszy się do króla puszczy, oddał mu głęboki ukłon; ale tygrys nie poruszył się wcale. Ram Lal z skrzyżowanemi na piersiach rękoma, odezwał się pokornie: »O królu, panie mój, czemużeś pozbawił mnie mego dziecka?«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIEDŹWIEDŹ.

Onych czasów, gdy jeszcze Chrystus Pan na ziemi
Przebywał, rybakami otoczon prostemi,
Żył we wsi jednej młynarz. Skryty i ponury,
Wiedział, zkąd deszcze, wiatry biorą się i chmury,
A podejrzliwy, wszystko wierząc swym rozumem,
Gardził braci prostaczym, łatwowiernym tłumem.

Raz zasłyszał, że Chrystus, ów prorok żydowski,
Miał iść drogą do bliskiej prowadzącą wioski,
Chowa się więc pod mostem kamiennym przy młynie,
Kędy droga przeświętej wypadła drużynie:
Chciał poznać, czy w istocie ten jest Bożym synem,
Co takim być się mieniąc, jak Bóg włada gminem.

Nie długo czekał. Chrystus, za nim uczniów cała
Gromada wolnym krokiem na most wstępowała,
Gdy w tem chcąc ich nastraszyć, on ku nim wyskoczy.
Nagle wszystkich ku niemu zwróciły się oczy,
A Pan rzekł by grom z nieba, straszny acz daleki:
»Co chcesz straszyć, bądź ludziom straszydłem na wieki.«

To rzekłszy, poszedł dalej. Ów zaś w okamgnieniu
Stanął cały w brunatnem, kosmatem odzieniu,
Zwierzęcą chucią oczy iskrzą mu się bure,
Z piersi się wydobywa mruczenie ponure.
Poszedł w las, pierwszy niedźwiedź. Odtąd jego plemię
Z łapą kształtu ludzkiego zaludniało ziemię.

WĘGRY.

(Ciąg dalszy.)

Przypominacie sobie zapewne Szanowni czytelnicy, co się powiedziało w pierwszym artykule o Węgrach, że Madziary lat temu tysiąc, przybyli ze wschodu i zdobyli orężem na Słowiańskich i Wołoskich ludach kraj ten, w którym dziś razem i w pomieszaniu ze zwyciężonymi zamieszkują. Doliczyć trzeba do tego i te ludności, które w późniejszych czasach na węgierskiej ziemi osiadły, bądź szukając schronienia od Turków, bądź też sprowadzone dla zaludnienia kraju wojnami spustoszonego. Zwrócimy więc i na nie uwagę, tem bardziej, że różne plemiona o których mowa, chociaż od wieków ulegające pierwszeństwu Madziarów, stanowią jednak, razem wziąwszy, wielką masę, większą daleko niż same Madziary; tylko pojedyńczo biorąc Madziarów jest najwięcej, to jest więcej niż którejkolwiek innej narodowości; bo z całej ludności węgierskiego kraju z Siedmiogrodem i innemi przynależnościami, przeszło część trzecia jest madziarską, to jest od pięciu do sześciu milionów; słowiańskich różnych plemion będzie blisko cztery miliony; wołochów pół trzecia miliona, Niemców półtora miliona, prócz tego Żydzi, Cyganie, trochę Greków i innych jeszcze plemion.

Madziarowie, jako zdobywcy i panujący składali i składają głównie stan szlachecki; do ich narodowości przygarnęła się też i starszyzna podbitych ludów, ażeby mieć te same przywileje, co szlachta madziarska, tak iż można powiedzieć, że co szlachcic, to Madziar, chociaż naturalnie że nie każdy Madziar szlachcic. W Siedmiogrodzie zamieszkała madziarska ludność nazywająca się Seklerami, zupełnie nie zna żadnych różnic stanu. Jest jej kilkakroć sto tysięcy, ale wszyscy równi i ziemię od wieków posiadają na własność. Między nimi niema szlachcica, albo można powiedzieć raczej że wszyscy są szlachtą, tylko w prostym stanie rolniczym żyjącą i bez poddanych, tak jak w Polsce zwłaszcza na Podlasiu i na Wołyniu tyle jest wsi szlacheckich.

Madziary panowie i szlachta byli dosyć twardzi dla włościańskiego ludu, osobliwie zaś dla obcych sobie Słowian i Wołochów. Niemcy przybywając z zachodu ze swoim przemysłem i rzemiosłami, mieli sobie nadawane oddzielne prawa i głównie po miastach osiadali; nie byli poddani, ale też nie byli równi madziarskiej szlachcie. Z tych różności tak wielkich między mieszkańcami jednego kraju wynikło, że królestwu węgierskiemu brakowało zawsze spójności a zatem i potęgi, którą by mieć mogło, gdyby się odmienne narodowości zbliżyły i połączyły, co się wszakże robi dzisiaj dopiero i prawie że w naszych oczach. Zresztą Madziarowie nie dbali dawnemi czasy o rozszerzanie własnego języka między innoplemiennemi mieszkańcami; od wieku 15-go, to jest lat temu przeszło czterysta, wszedł był na Węgrzech w powszechne między szlachtą użycie język łaciński i w rządzie i na sejmach i w sądach i we wszystkich publicznych sprawach; ta więc łacina przykrywała poniekąd narodowe różnice.

Po Madziarach najwięcej jak powiedzieliśmy jest Słowian w Węgrzech; ale i ci Słowianie na kilka znowu dzielą się plemion odmiennemi narzeczami mówiących, choć i pokrewnemi sobie, z których każde mógłby Polak mniej więcej zrozumieć.

I tak K r o a c i, zamieszkujący południowo-zachodnie części kraju, zwane Kroacya i Dalmacya, nie byli właściwie przez Madziarów podbici, ale przyłączyli się do nich przez Unię na równych prawach, i ziemie ich tytułowały się zawsze i do dziś dnia tytułują się osobnem niby królestwem Kroacko-Dalmackiem. Dalmacya zresztą sięga już morza Adryatyckiem zwanego i sąsiaduje z włoską równiną Wenecyą; jest

więc tam po miastach i włoska ludność. Kroatów liczą blisko milion. Lud to jest rosły, silny i do żołnierki arcyprzydatny; najlepsza z nich piechota w austryackiem wojsku; w okręgach pogranicznych z Turcyą, gdzie dawnemi czasy ciągła była wojna, każdy Kroata zapisany jest do wojska na całe życie; jedni są w czynnej służbie, a drudzy liczą się na urlopie w domu dla uprawy ziemi i chowu bydła, w potrzebie zaś wszyscy idą do szeregów. Obyczajów są grubych, ciemni i zabobonni, wejrzenia srogiego; lubią pić i hulać; porządkiem i schludnością nie odznaczają się; żyją też ubogo bez żadnych wygód, i byle czem się obywają. Wyznają w ogóle religię katolicką, ale oświaty u nich tak mało, że niedawno jeszcze dopiero się książki dla nich wydawać zaczęły. Miasto ich główne jest Agram czyli Zagrzeb.

Serbowie przybyli na węgierską ziemię dopiero lat sto kilkadziesiąt temu, szukając przytułku od tureckiego ucisku. Otrzymali siedlisko w południowej części kraju, na wschód od Kroacyi. Rzeka Dunaj i wpadająca do niej Sawa oddzielają ich od właściwej Serbii, ich dawnej ojczyzny, która przez wieki pod tureckiem będąc jarzmem, wyswobodziła się nareszcie po długiej walce, przed laty 80-ciu, i obecnie nie uznaje już sułtana za zwierzchnika, któremu przedtem opłacała pewną sumę do jego skarbu. Rządzi się teraz u siebie jak chce. Serbowie, równie jak i Kroaci do surowego życia zaprawni, wojowniczym są ludem; wysocy też i barczyści, ale odmiennych całe rysów twarzy; gospodarniejsi są i zamożniejsi od Kroatów, przytem bardzo gościnni. Z pod tureckiego niegdyś panowania zachowali niektóre tureckie zwyczaje, np. siedzenie na ziemi ze złożonemi na krzyż nogami. Wszyscy Serbowie należą do wschodniego kościoła, czyli wyznania prawosławnego.

Słowacy i Rusini zamieszkują głównie cały północny pas węgierskiego kraju, strony górzyste od wierzchołków aż do podnóża Karpat. Od wieków pod władzą Madziarów, podlegli bardzo ich wpływowi w zwyczajach i obyczajach, choć język swój zachowali; szlachta słowacka prawie całkiem zwęgierszczyła się, rusińskiej można powiedzieć że zupełnie nie ma. Bliżej urodzajnych równin, ku środkowi Węgier siedząca ludność tych plemion ma jeszcze jaki taki dostatek, ale co w górach to wielkie ubóstwo i nędza; bo na tych wyżynach jałowych owies tylko się rodzi, a z inwentarza proste jedynie owce i kozy hodują. Rozchodzi się też ten biedny lud w dalekie strony po Węgrach i Polsce za zarobkiem, zwłaszcza w żniwa; nasi druciarze to wszyscy Słowacy.

(Dokończenie nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

W niemiłem położeniu. Mamy tu przed sobą jednę z scen z życia na wsi. Przed domem na pastwisku rosły chłopak wiejski z braku stósownego zajęcia począł figlować z drobnym inwentarzem wiejskim. Nie spodziewał się jednak ataku z dwóch stron, któremu podołać nie może. Chciałby chętnie wydobyć się z niemiłego położenia, ale nie może. Chcąc nie chcąc musi czekać cierpliwie, aż się nie nadarzy chwila, w której będzie się mógł wydobyć z opałów. Dziewczęta z za płota i ogrodzenia radują się z niemiłego położenia towarzysza swych zabaw i wcale mu losu nie zazdroszczą.

Szczególny napastnik. Wiadomą jest rzeczą, że zwierzęta i ptaki dobrze czują, czy widzą przed sobą mocniejszą, czy też słabszą istotę. Nieraz się zdarza, że gąsior lub gęś napada na dziecko i kaleczy je. W tym względzie pies jest najbezpieczniejszem zwierzęciem, bo niejednokrotnie z narażeniem własnego życia staje w obronie dziecka i jest jego najprzywiązańszym opiekunem. Na rycinie widzimy ślicznego zdrowego chłopczyka, który łyżką pragnie obronić się napastnikowi królikowi. Ten jednak wie bardzo dobrze, że ma sprawę z istotą wątłą i dla tego wcale się broni dziecka nie obawia. Być może jednak, że królik wcale złych zamiarów nie ma i tylko poufałość ku dziecku czyni go tak śmiałym.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

NA PUSTYNI.

Afryka to ziemia okrucieństwa, pogardy życia i obojętności dla cierpienia. Nie pamiętam, żebym kiedy doznał tak silnego wrażenia, żalu i litości, jak podczas mego pobytu w tych krajach, gdzie islamizm głębokie zapuścił korzenie. Obraz, który tam widziałem, dzień i noc stoi mi przed oczyma, ognistemi wyryty zgłoskami; wstrząsnął on tak silnie moją duszą, tak głęboko rozdarł mi serce, że dotychczas zapomnieć go nie mogę.

Od dwóch tygodni już przebiegaliśmy konno ogromne przestrzenie spalone od słońca. Noc spędzało się pod namiotem w pobliżu jakiego dworu, o wschodzie słońca znów dosiadaliśmy rumaków.

Z początku przebiegaliśmy posępne równiny, na których spotykało się kępki zeschniętej trawy; słońce niemal na węgiel ją spaliło ognistymi promieniami, gdyż od sześciu miesięcy kropla deszczu nie spadła. Na tych nędznych pastwiskach błąkały się stada owiec brudno-szarej barwy, gromady wielbłądów, które z oddali wziąć było można za olbrzymie indyki. Zbliżywszy się poznałem garby, długie szyje i niezgrabne nogi tych pożytecznych stworzeń, zwanych »okrętami pustyni«. Ogromne ich brzuchy, nadęte jak balony, zawierają niekiedy sześćdziesiąt kwart wody.

Wielbłądy także mają barwę pustyni, podobnie jak wszystkie istoty przebywające wśród tych równin nieskończonych. Lew, hyena, szakal, ropucha, skorpion, jaszczurka, a nawet człowiek, barwą niczem się nie różnią od otaczającej ich przestrzeni; można między niemi odnaleźć wszystkie odcienia tego gruntu spalonego przez słońce, począwszy od rudawo-ognistej barwy wzgórz ruchomych, aż do żółtawych kolorów piasku i szaro-kamiennej barwy gór. Skowronka wtedy dopiero się widzi kiedy wzlatuje w górę, inaczej jest niewidzialny. Ten jednostajny koloryt pustyni stanowi tarczę obronną i jedyny warunek bezpieczeństwa stworzeń, żyjących wśród niezmierzonych równin, gdzie nic, ani las ani wzgórze, nie osłania ich przed okiem nieprzyjaciela.

Im dalej się zapuszczamy, tem posępniejsza ogarnia nas pustynia. Nic jej nie ożywia, ani kępka trawy, ani źródełko, ani palma zielona, ani żadne stworzenie; zdaje się że wszelkie życie zamarło wśród tych milczących przestrzeni. Stąpamy po rozpalonym piasku, a nad nami słońce sieje żar nielitościwych promieni; powietrze jest duszne, nawet niebo zdaje się być rozpalonem do jasnosci.

O pięćset metrów przed nami jedzie przewodnik i śpiewa oryginalną pieśń arabską w nader powolnem tempie. Nieruchomy, wyprostowany, siedzi jak przykuty na siodle. Nagle powstaje, prostuje w strzemionach i puszcza się pędem naprzód; wiatr rozwiewa długi jego burnus, a my pędzimy za nim, dopóki nie zwolni biegu.

— Jakim sposobem może on nas prowadzić wśród pustyni, gdzie niema żadnego śladu drogi, niema ani drzewa, ani kamieni, żadnej wskazówki dla podróżnego? — zapytałem jednego z towarzyszy.

— Żadnej, mówisz wskazówki? A kości wielbłądów? — odrzekł towarzysz, lepiej znający Afryką i pustynię.

Istotnie, od czasu do czasu spotykaliśmy jakąś czaszkę, piszczel, kawałek kości pacierzowej bielejący na piasku. Dzikie zwierzęta poobgryzały te kości, słońce je wypaliło i wysuszyło.

— Zkąd się biorą te szczątki? — zapytałem.

— Karawany zostawiają na drodze zwierzęta, które już nie mają siły iść dalej — objaśnił mię towarzysz — szakale prędko się z niemi załatwiają.

Jechaliśmy wciąż za naszym przewodnikiem, milczący, znużeni upałem i tą okropną jednostajnością pustyni. Jednego dnia w południe, kiedy cieszyliśmy się nadzieją noclegu w oazie, ujrzałem zdaleka jakąś ogromną brunatną masę, zupełnie bezkształtną. Dwa sępy ją rozdzierały, ale uciekły za naszem zbliżeniem. Był to trup konia, czy wielbląda, jeszcze niepożarty; ze wstrętem odwróciłem oczy od tych zwłok, nad któremi pastwiły się drapieżne zwierzęta.

— Jakaś karawana nas poprzedza — rzekł towarzysz.

W kilka godzin później wjechaliśmy w wąwóz, podobny do rozpalonego pieca. Zębate skały popękały pod wpływem ognistych, nieubłaganych promieni słońca. Szakal pożerał tam szczątki nieszczęśliwego zwierzęcia, pozostawionego na pastwę przez karawanę; uciekł, wystraszony zjawieniem się ludzi.

Wyjeżdżając z wąwozu na równinę, spostrzegliśmy przed sobą nieruchomego wielbląda, leżącego na rozpalonej ziemi. Na odgłos kopyt końskich nieszczęsne zwierzę z trudnością podniosło głowę i spojrzało na nas wzrokiem niewypowiedzianie smutnym. Od kilku dni musiał już tu leżeć, konając z głodu i pragnienia pod okrutnymi promieniami słońca, które prostopadle padały na jego głowę. Wychudłe ciało strasznemi było pokryte ranami. Spostrzegłszy nas, nie wydał jęku, nie próbował nawet powstać, wiedział pewno, że nie może rachować na litość człowieka. Ileż to jego towarzyszy zginęło w ten sposób porzuconych wśród pustyni; teraz na niego nadeszła kolej.

Zdawało się, że rozumie swój los i z rezygnacyą poddaje się przeznaczeniu, jak jego pan muzułmanin. Na ten rozdzierający widok uczułem bolesne ściśnięcie serca, po twarzy kilka łez się stoczyło, nie mogłem obronić się wzruszeniu.

Odjechaliśmy daleko, ale kiedy się obejrzałem, spestrzegłem jeszcze w oddali długą szyję opuszczonego wielbłąda. Nieszczęsne zwierzę ścigało nas wzrokiem, dopóki nie zniknęliśmy wśród piasków pustyni — więcej istot ludzkich nie miało już ujrzeć w swojem życiu.

Widziałem raz konającego psa, przytulonego do odłamu skały; przerażonem okiem spoglądał na dwa sępy, które cierpliwie czekały na swoją ofiarę i taką przejęty był trwogą, że nie czuł bólu, kiedy jeden z arabów rzucił w niego kamieniem.

Widziałem raz trupa, porzuconego na słomie pod murem karawan-seraju w Kabylii. Zabiło go słońce, równie litościwie dla zwierząt i ludzi. Karawana odeszła, zostawiwszy go dyszącego jeszcze na pastwę sępów i szakali.

Nigdy jednak nie doznałem tak głębokiego wrażenia, jak wtedy na widok wielbłąda konającego wśród piasków pustyni.

Czy śmierć jest bolesną?

Jednym z powodów, dla których śmierć wzbudza tak wielką trwogę w ludziach, jest przekonanie, że rozłączeniu duszy z ciałem towarzyszą wielkie cierpienia. Stanowcze rozstrzygnięcie tej kwestyi jest niemożliwe, ale twierdzenie lekarzy, oparte na znacznej liczbie faktów i spostrzeżeń dąży do zwalczania ustalonych w tym względzie pojęć. Pewien znakomity lekarz i znawca ustroju ciała ludzkiego w ten sposób się wyraża: »Mam wielką liczbę danych, że śmierć nie jest bolesną, podobnie jak nie jest bolesnem zaśnięcie po dniu mozolnie spędzonym. Osoby, które się topiły, wieszały lub wskutek zmarznięcia umarły pozornie, a potem zostały przywrócone do życia, zapewniają, że żadnych nie doznawały cierpień. To, co nazywają walką przedśmiertną, jest tylko machinalne i nie bywa odczuwane. Sławny naturalista Buffon mówi: »Dlaczego mamy lękać się śmierci, kiedy ona jest równie naturalną jak życie? Rodzimy się i umieramy, nie wiedząc nawet o tem.« Jeżeli zapytamy się osób, które często widują umierających, wszystkie odpowiedzą nam zgodnie, że z wyjątkiem małej liczby chorób, przy których objawiają się bolesne kurcze, śmierć w ogóle bywa łagodną, spokojną i bez cierpień. Widok przedśmiertnej walki jest przykrzejszy dla otaczających niż dla samego konającego; on najczęściej nic nie czuje. Świadczą o tem słowa umierających, którzy zostali przywróceni do życia. Po większej części ludzie nie wiedzą, że umierają, a wśród małej liczby tych, co do końca zachowują przytomność, nie ma ani jednego, któryby nie łudził się nadzieją powrotu do zdrowia. Śmierć bynajmniej nie jest rzeczą tak straszną jak sobie wyobrażamy; jest to widmo, które z daleka tylko nas przeraża a z blizka niknie.

W chwili śmierci ciało jest więcej osłabione niż zwykle, a zatem i jego cierpienia nie mogą być zbyt silne. Można wiele przytoczyć przykładów, że osoby pozornie umarłe, a potem przywrócone do życia, opowiadały o przyjemnych wrażeniach, jakich doznawały w chwili śmierci. Pewien sławny uczony utrzymywał, że słyszał wtedy jakąś prześliczną muzykę. Kilku topielcom, wyratowanym z wody, także zdawało się, że dochodzą ich rozkoszne melodye, a pewna kobieta, w którą piorun uderzył, doznała takiego uczucia, jak gdyby się rozpływała wśród ciemności. Pełno znajdujemy takich świadectw w starożytnej i nowożytnej literaturze. Zdaniem fizyologów ludzie przed śmiercią przestają czuć, potem tracą świadomość, a tam gdzie nie ma czucia i świadomości, nie może być cierpienia. To, co bierzemy za bolesną walkę przedśmiertną, jest tylko bezwiednym odruchem muskułów. Przed śmiercią ciało znajduje się prawdopodobnie jakby pod działaniem narkotyku.

Jak zaspakajać pragnienie?

Większa część chorób nawiedzających człowieka podczas letniej pory pochodzi z nadużycia zimnych napojów. Jedni piją zadużo, inni zamało, warto więc dowiedzieć się, w jaki sposób mamy zaspakajać pragnienie.

Czy źle jest pić wodę, kiedy człowiekowi gorąco? Czy wielka ilość zimnego napoju zaspakaja pragnienie, czy też przeciwnie podsyca je jeszcze?

W ogóle wzbraniają pić wody, kiedy się jest spoconym; słuszna wtedy zachodzi obawa, żeby gwałtowne oziębienie spoconego ciała nie wywołało ciężkiej choroby płuc lub żołądka.

Jeżeli pijemy wodę kiedy nam gorąco, krew w skutek wewnętrznego oziębienia napływa ku powierzchni skóry i wywołuje obfite poty. Jeżeli ilość wody była niewielka, krew powraca znowu na swoje miejsce i złych skutków z tego nie ma. Niebezpieczeństwo na czem innem polega:

Wiadomo, że temperatura ciała jest zawsze jednakowa. Wpływ gorąca w lecie nie podnosi jej, gdyż nadmiar ciepła zewnętrznego równoważy ubytek cieplika, który powstaje w skutek parowania potu. Nalawszy na rękę

nieco spirytusu, lub wody kolońskiej, doznajemy natychmiast uczucia zimna, każdy płyn bowiem ulatniając się, ciałom otaczającym go odbiera cieplik.

Człowiek spocony i wystawiony na przeciąg powietrza, naraża się na niebezpieczeństwo, powietrze bowiem przyspiesza parowanie i w skutek tego następuje gwałtowne oziębienie ciała, które częstokroć jest powodem ciężkiej choroby. Picie wtedy nadmiernej ilości wody zwiększa jeszcze parowanie i dlatego unikać go należy. Wtedy tylko można bezkarnie pić wodę, będąc spoconym, jeżeli ciało nasze natychmiast w ruch wprawimy; tym sposobem zapobiegamy utracie cieplika. Dlatego wśród tańca jedzenie lodów, picie zimnej limonady, a nawet wody, żadnem nie grozi niebezpieczeństwem, byle tylko potem nie odpoczywać, lecz znowu puścić się w taniec.

Rozsądniej jest podczas upałów letnich wstrzymywać się od obfitego używania napojów; nietylko grozi to zaziębieniem ale osłabia zarazem w skutek cieplika. Zwłaszcza podczas epidemii unikać tego należy, nic bowiem nad to niema szkodliwszego.

Znaczną ilością napoju nie ugasi się pragnienia, to rzecz dowiedziona; im więcej się pije, tem większem ono się staje. Przyczyna tego jest bardzo prosta: w skutek nadmiernego pocenia się krew traci wiele cząsteczek wodnych i ztąd powstaje pragnienie; braku tych cząsteczek nie wynagrodzi ilość wypitego napoju. Żołądek przytem nie może znieść nadmiaru wody, a im ona jest chłodniejsza tem obfitsze wywołuje poty i więcej krew zuboża.

Z tego wszystkiego wynika, że nigdy nie trzeba pić, kiedy się jest spoconym i zmęczonym; że należy unikać zbyt zimnego napoju, który wywołuje reakcyą; że ilość napoju powinna być niewielka; że dobrze jest pijąc przegryść coś przytem, żeby zmniejszyć działanie zimna na ściany żołądka.

W krajach gorących piją częstokroć przez słomkę, lub rurkę szklanną. Jest to bardzo dobry zwyczaj, gdyż napój dostaje się wtedy do żołądka drobnemi partyami i lepiej zaspakaja pragnienie. Nic szkodliwszego, jak wychylanie odrazu pełnych szklanek wody.

W ogóle niebezpiecznie jest pić, kiedy ciało znajduje się w stanie spoczynku, lub wystawione jest na działanie chłodniejszego powietrza. Jeżeli pragnienie staje się nieznośnem, można je chwilowo uśmierzyć, kładąc w usta kwaskowaty cukierek.

Praktyczne rady.

— **Ogień stłumi** się najpewniej w ten sposób, że się doń wrzuci flaszeczkę, napełnioną ałunem z wodą. Ałunu trzeba wlać tyle, aż się rozpuszczać przestanie w wodzie. Flaszeczka musi być z tak ciężkiego szkła, ażeby pękła, gdy się ją w ogień wrzuci. Woda się ulotni, ałun zaś otoczy płomień rodzajem skorupy, tak że nowy kwasoród dostąpić nie może i płomień w ten sposób się stłumia.

— **Dla gospodyń.** Ze skorup od jajek nie radzimy zwykle żadnego użytku, a przecież przymioty ich wapienne godne są czegoś lepszego niż śmietnika.

Potłuczone skorupy od jajek, jeżeli zostaną zmięszane z pokarmem dla kur, prosiąt i cieląt, przyczyniają się wielce do wzmocnienia szkieletu tych zwierząt i ich wzrostu. Kury zwłaszcza, karmione w ten sposób, skłonniejsze są do wysiadywania jajek. Co się tyczy wysiadywania, wyborny jest środeczek zachęcający kurę do tej macierzyńskiej czynności. Jak tylko kura zacznie gdakać, dość włożyć do gniazda kilka porcelanowych jajek zlekka ogrzanych. Ciepło to wpływa bardzo przyjemnie na kurę i zachęca ją do siedzenia. Powtarza się to nazajutrz i dni następnych; dość trzy lub cztery razy. Potem można już spokojnie złożyć jajka, kurka ich nie opuści, dopóki nie wylęgnie się nowa generacya.

Rozmaitości.

* **Statystyka piwa.** Że wiek nasz jest między innemi wiekiem piwa, przekonywują o tem następujące cyfry: W Anglii w 2,644 browarach wyrabiają 282 miliony garncy piwa, w Prusach w 2,400 browarach 250 milionów garncy, w Stanach Zjednoczonych w 3,300 browarach do 100 milion.; w Austryi w 2,500 browarach 80 mil.; w Belgii w tyluż browarach do 50 milion.; we Francyi w 3,000 browarach prawie tyleż, co w Belgii; w Rosyi na 460 browarów wypada 14 milionów, a nareszcie w Holandyi na 560 browarów 10 milionów garncy. Z wyjątkiem Bawaryi, w Belgii średnia konsumpcya piwa jest największą. Gdy belgijczyk wypija go rocznie 149 kwart, anglik konsumuje 143, niemiec 94, duńczyk 59, amerykanin 38, austryak 34, francuz 21. Koronę Gambrynusa dzierzy atoli Bawarya. Kraj ten posiada 6,600 browarów. Bawarczyk, średnio biorąc, wychyla rocznie 289 kwart piwa. Piękna rekomendacya!

* **Nasze stalowe pióro,** którem dziś piszemy, nie jest czasem wynalazkiem najnowszych czasów, jakby niejeden sądził. Przy przekopywaniu ziemi nieraz znajdowano metalowe pióra, które należały do dawniejszych czasów. W Kolonii nad Renem znaleziono 10 cm. długą w środku próżną rurkę z bronzu, która ma średnicy około 4 mm. Koniec rurki jest nacięty, z czego wnosić można, że rurka służyła jedynie do pisania.

* **Barwne fotografie.** Epokowego w rozwoju sztuki fotograficznej wynalazku, dokonał dr. Selle z Brandenburga. Wynalazł on sposób zdejmowania fotografii o barwach naturalnych.

O wynalazku tym miał w tych dniach w Berlinie wykład prof dr. Neuhaus. Dokładność odbitek i żywość barw wprawiła obecnych w zdumienie, zwłaszcza fotografie kwiatów, motyli i błyszczących owadów, które jaśniały naturalnemi barwami. System dr. Sellego polega na trzech barwach zasadniczych Helmholtz'a, któremi są: karmazynowa, jasnożółta i błękitno-zielona, — i wymaga technicznie nie wiele więcej zachodu, niż fotografia zwyczajna. Dr. Selle zdejmuje z danego przedmiotu trzy odbitki, jedną czerwoną, jedną żółtą i jedną błękitną, na cienkich płytach żelatynowych, następnie układa te płyty bardzo ściśle jednę na drugiej i otrzymuje w ten sposób odbitkę w barwach naturalnych. Zastósowuje on farby anilinowe, których dobór jest dotąd jego tajemnicą. Dr. Selle jako szczyt pragnień swoich określił możność fotografowania portretów kolorowych; główna trudność w tym wypadku polega na tem, aby trzy odbitki tak szybko zdjąć kolejno, by twarz fotografowanego zachowała ten sam wyraz.

* **Co płacono niegdyś doktorom.** Przed wiekami płacono trochę więcej lekarzom, niż to się dziś praktykuje. Tak Capistratus naprzykład, za wyleczenie króla Antyocha, dostał około 2 milionów złotych; Thataeus, rodem z Florencyi, nie wyruszał z domu nawet do umierającego pacyenta, jeżeli mu nie zapłacono około 300 złotych. Papież Honoryusz, który go sprowadził do Rzymu z Florencyi, zapłacił za wizytę na teraźniejszą monetę około 60,000 złotych. Gdy Melampus uzdrowił córkę Paetusa, króla Archów, otrzymał za to trzecią część państwa w podarku i królewską córkę za żonę. Tyleż otrzymał brat jego, który mu w leczeniu pomagał. Jeden z wielkich Mogołów w XVII wieku płacił nadwornemu lekarzowi przeszło milion złotych. Jak to dobrze, żeśmy wówczas, my biedni pacyenci, nie żyli.

* **Jak dawno szkło w użyciu.** Najdawniejszym ze szkła przedmiotem, którego wiek w przybliżeniu określić można, jest lwia główka, znaleziona w Egipcie, z imieniem jednego Faraona z 11-tej dynastyi. Główka znajduje się dzisiaj w zbiorach British-Museum, świadcząc wymownie, iż na dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa w Egipcie nietylko znano sposób wyrabiania szkła, lecz że nawet ten rodzaj przemysłu stał tam wówczas na wysokim stopniu doskonałości. Sztuka polerowania naczyń musi być także wynalazkiem z czasów pierwszych Faraonów w Egipcie. Z późniejszych zabytków znaleziono w Tebach grubą taflę szkła na której wyryte było imię królowej Hataroo vel Hareb z 18-tej dynastyi. Do tych samych mniej więcej czasów należy mnóstwo naczyń, waz, kubków i półmisków znajdowanych w różnych stronach Egiptu.

* **Pamięć.** Profesor Delanais zebrał ciekawe szczegóły tyczące się pamięci. Niższe rasy, jak negrzy, chińczycy i t. p., posiadają pamięć lepszą niż narody stojące na wyższym szczeblu cywilizacyi. Ludy pierwotne, które nie znały pisma, posługiwały się zadziwiającą pamięcią. Tradycye, pieśni, hymny — obszerne jak biblia — przechodziły ustnie z pokolenia na pokolenie. Nauczyciele i suflerzy wiedzą z doświadczenia, że kobiety odznaczają się lepszą pamięcią niż mężczyzni. Pamięć w młodości, jest o wiele żywsza niż w wieku dojrzałym. Maximum swe dosięga pomiędzy 14 a 15 rokiem, potem zaczyna już słabnąć. U słabszych, limfatycznych indywiduów jest ona silniejszą niż u silnie rozwiniętych. Uczniów pochodzenia wielkomiejskiego cechuje w ogóle pamięć mniejsza niż przybyszów z prowincyi. Zdolności nie zawsze idą w parze z pamięcią, owszem zauważono wprost przeciwny stósunek. W razie osłabienia lewej półkuli mózgowej pamięć nic nie traci, słabnie widocznie, gdy chorą jest prawa półkula. Z punktu fizyologicznego pamięć słabnie wskutek nadużywania pokarmów, ćwiczeń fizycznych i czytania. W ogóle pamięć o wiele lepiej działa rano niż wieczorem, w południe niż o północy.

* **Legenda.** Do rzędu ptaszków śpiewających należy między innemi, raszka, erithacus, drobny ptaszek z piękną czerwoną plamką na gardziołku, zwany u nas niekiedy czerwonogardłem. Ptaszek ten jest u bretonów bohaterem prześlicznej legendy, którzy uważają go jako wzór przyjaciela w nieszczęściu.

»Wówczas, gdy Chrystus, niosąc krzyż na ramieniu, szedł na Kalwaryą, wszyscy ci, co żyli jego słowem, odstąpili Mistrza. W towarzystwie Ofiary i Jej oprawców pozostał tylko ptaszek, któremu Chrystus rzucił kilka kruszynek chleba podczas wieczerzy. Ptaszkiem tym była raszka. Wyziewając ducha, Syn Boży zwrócił gasnące oczy na krzak, w którym ptak trzepotał skrzydłami i rzekł: »Błogosławiony bądź, boś nie opuścił Tego, którego wszyscy się wyparli.«

ŻARTY.

Żeby wiedział.

— Widzisz Wojtek, bocian już przyleciał, a tobie jakoś jeszcze nie chce się orać.

— A juści! bocian przyleciał wedle pożywienia, ażeby wiedział, że mu każą orać, toby nie głupi był przylatywać tutaj!

W sądzie.

— Proszę pana sędziego, wybił szybę, wsunął przez otwór głowę i nawymyślał mi.

— Ale wyście go przez okno wciągnęli, potłukli porządnie i wyrzucili za drzwi. Gdzież tu więc powód do kryminalnego postępowania, jak piszecie w skardze?

— A przecież to proszę pana sędziego obraza z włamaniem.

Pani: Czy jesteś pewna, Marysiu, że nie zgubiłaś listu, który ci kazałam przed tygodniem oddać na pocztę?
Marysia: Co miałam zgubić, proszę pani, przecież mam go w kieszeni.

Ślepy żebrak do ślepego kolegi: Czy znasz tego pana, co ci dał teraz dyskę?
Kolega: Z widzenia tylko.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.